nałego, wszystko-objaśniającego „produktu końcowego". Nigdy nie będzie żadną ostateczną prawdą. Chodzi o rozszyfrowanie wyobraźniowych i symbolicznych struktur osobowości pacjenta i zainicjowanie ruchu w ich obrębie (w przypadku kobiet wręcz stworzenie je od nowa), a nie odkrycie i opisanie kolejnej uniwersalnej prawdy. Brak precyzji pojęciowej i niespójność czy wręcz nieobecność ścisłych definicji wynika zatem z przejęcia technik psychoanalitycznej sesji.

Whitford bardzo akcentuje fakt, że Irigaray używa pojęcia *parler-femme*, a nie *écriture féminine*, że chodzi jej nie tyle o pisanie, ile o mówienie – jako kobieta. Taka jest w końcu natura psychoanalitycznej sesji – jej uczestnicy mówią, interpretują, szukają nieuchwytnych często sensów. *Parler-femme* oczywiście oznacza również mówienie kobiecym ciałem, ale iluzją jest przekonanie o istnieniu bezpośredniej, niezapośredniczonej relacji do niego. Język jest niezbędny, Irigaray szuka więc związku między syndromami psychofizycznymi a fenomenami językowymi, do tego właśnie potrzebuje narzędzi psychoanalitycznych i lingwistycznych. Kobieta musi zacząć mówić, wprowadzić swoje, inne od męskiego, ciało w język, wprowadzić do języka ciało swojej matki, ukryte w głębinach nieświadomości. Dla mężczyzny ciało matki staje się obiektem, jednak kobieta, naśladując go, zabija siebie. Musi więc nawiązać kontakt z Ty/Matką, ale aby to stało się możliwe, ciało matki musi znaleźć swoje miejsce na płaszczyźnie symbolicznej. Whitford uważa, że *parler-femme* ma umożliwić kobiecie zajęcie własnego miejsca w społecznej i symbolicznej przestrzeni. Irigaray tworzy projekt epistemologii wywiedzionej od niekartezjańskiego podmiotu wypowiadającego, podmiotu w dialogu z Innym /Innym, a nie Innym /Tym Samym. Dlatego coraz więcej miejsca zajmuje w jej filozofii refleksja nad miłością, najpierw między kobietami, potem między płciami.

Nie da się jednak ukryć, że mówienie /język kobiety w patriarchacie jest czymś odmiennym od *parler-femme* w przyszłym, zmienionym porządku symbolicznym. Pierwszy musi stać się obiektem psychoanalitycznego opisu, drugi tak naprawdę jeszcze nie istnieje. Świat filozofii Luce Irigaray jest domeną przedziwnego paradoksu, analizując przeszłość i teraźniejszość mówi ona do nas z punktu widzenia przyszłości. Tym samym to, co niemożliwe, staje się na naszych oczach, dzieje się już.

Twórczość Luce Irigaray wywoływała i ciągle wywołuje wiele kontrowersji i sprzecznych emocji. Jej fenomen polega jednak nie na tym, że jedni ją wielbią, a inni zdecydowanie potępiają, lecz na tym, że często dotyczy to jednej i tej samej osoby. Każdy prawdziwy, czyli zaangażowany i otwarty na inny głos czy na głos Innego, czytelnik zostaje poddany sprzecznym uczuciom odpychania i przyciągania, zachwytu i buntu. Wielka lektura zawsze nas zmienia. Nie waham się jednak wyznać – i przestrzec – że czytanie Luce Irigaray wyciska szczególnie silne piętno. Chociaż zatem wejście w jej świat jest niezwykle trudne i nie sposób nie wziąć pod uwagę toczącej się wokół dyskusji, największym wydarzeniem pozostaje bezpośredni kontakt z tekstem, niepokój przezeń wzbudzany i dialog, do którego nas zmusza.

Prezentacje

Luce IRIGARAY

I jedna nie ruszy bez drugiej

dla giovanny gagliardo

Z twoim mlekiem, moja matko, wypiłam lód. I żyję oto z tym zlodowaceniem w środku. Stawiam kroki jeszcze gorzej od ciebie i ruszam się jeszcze mniej niż ty. Przelałaś się we mnie i ten ciepły płyn stał się trucizną, która mnie paraliżuje. Moja krew nie krąży już do stóp ani do rąk, ani do głowy. Nieruchomieje – krępowana przez zimno. Zatrzymana przez blokady, które stawiają jej przepływowi opór. Zostaje w sercu, blisko serca.

I nie mogę już biec ku temu, co kocham. A im bardziej kocham, tym bardziej jestem schwytana w odrętwienie i skuwa mnie lód. Wpadam we wściekłość, bronię się, krzyczę – muszę uciec z tego więzienia.

Z jakiego więzienia? Gdzież to jestem odosobniona? Nie widzę niczego, co by mnie zamykało. To w moim wnętrzu coś mnie trzyma, w sobie jestem uwięziona. Jak się stąd wydostać? I dlaczego w sobie jestem zatrzymana?

Ty mnie strzeżesz, stale mnie dostrzegasz. Pragniesz ciągle mieć mnie na oku, by w razie czego mnie chronić. Boisz się, żeby nic mi się nie stało. Lękasz się, że coś może mi się stać? Ale cóż może mi się stać gorszego od tego, że leżę tak dzień i noc? Dorosła już i ciągle w kołysce. Ciągle zależna od kogoś, kto mnie nosi, kto mnie karmi. Kto mnie nosi Kto mnie karmi?...

Odrobina światła wnika we mnie. Rusza się nieco w środku. Ledwie. Coś nowego mnie poruszyło. Jakbym zrobiła pierwszy krok wewnątrz. Jakby tchnienie powietrza przeniknęło skamieniałą całość, uwalniając jej ciężar. Budząc mnie

z długiego uśpienia. Z bardzo starego snu. Marzenia, które nigdy nie było moje, ale w nim utknęłam. Byłam postacią – lub całością? – snu kogoś innego /ej.

Zaczynam, czy też od nowa zaczynam oddychać. To dziwne. Jestem bardzo spokojna i czuję, że coś się we mnie porusza. Wnika do środka, wychodzi na zewnątrz, powraca i znowu odchodzi. Ten ruch – czynię go całkiem sama. Nikt mi nie towarzyszy. Mam dom wewnątrz i dom na zewnątrz, i przenoszę się od jednego do drugiego i z powrotem. Nie potrzebuję już twojego brzucha, twoich ramion, twoich oczu, ani twoich słów, aby wychodzić i wracać. Jestem jeszcze tak blisko ciebie, i już tak daleko. Jest ranek, mój pierwszy ranek. Dzień dobry. Jesteś tam, ja jestem tutaj. Pomiędzy nami tyle powietrza, światła, przestrzeni, którą możemy się dzielić. Już nie kopię. Mam teraz czas.

Wstaje dzień. Jestem głodna. Chciałabym mieć siłę do chodzenia. Do biegania całkiem sama blisko lub daleko od ciebie. Aby iść ku temu, co kocham.

Przygotowałaś coś do jedzenia. Przynosisz mi to. Dajesz mi /sobie jeść. Ale dajesz mi /sobie za dużo, jakbyś chciała napełnić mnie całą tym, co przyniosłaś. Wkładasz się do moich ust, a ja się duszę. Nie wpychaj się tak we mnie i pozwól mi na siebie patrzeć. Pragnęłabym patrzeć na ciebie, kiedy mnie karmisz. Nie tracić moich /twoich oczu, kiedy otwieram ci moje usta. Pragnęłabym, żebyś była ze mną, gdy cię piję. Pozostań dalej także na zewnątrz. Strzeż mnie /siebie także na zewnątrz. Nie pogrążaj się, nie pogrążaj mnie, w tym, co przechodzi od ciebie do mnie. Tak bym pragnęła, abyśmy były tu razem, we dwie. Abyśmy nie znikały ciągle jedna w drugiej. Abyśmy mogły się smakować, dotykać, czuć, słuchać, widzieć – razem.

Jestem do ciebie podobna, ty jesteś do mnie podobna. Oglądam się w tobie, ty oglądasz się we mnie. Ty jesteś już duża, ja jestem jeszcze mała. Ale ja wyszłam z ciebie i tu, na twoich oczach, jestem żywą inną tobą.

Ale ty zawsze odwracasz się roztargniona. Ukradkiem sprawdzasz w lustrze, czy jeszcze istniejesz, i odwracasz się w stronę kuchni. Według tego, co mówi zegar, zmieniasz się. Przebierasz się, stroisz według godziny. Której godziny? Godziny czego? Godziny dla kogo? Chciałabym, żebyś stłukła ten zegarek, który pokazuje ci czas, i abyś pokazała się mnie. I żebyś na mnie spojrzała. I byśmy znalazły rozkosz w naszym podobieństwie i różnicy. Ty ja wymieniające się bez końca, pozostające każda osobno. Żywe lustra.

Będziemy grać w piłkę, ty i ja. Ale kto będzie widział, że między nami przechodzą obrazy? Że ty mi je dajesz, że ja ci je daję, nieustannie. I że nie potrzebujemy rzucać i odrzucać żadnego przedmiotu, aby ta gra miała miejsce. Rzucam ci jeden obraz, ty mi go odsyłasz i znowu go chwytasz.

Opanowujesz się i rzucasz do mnie: chcesz miodu? Czas na jedzenie. Trzeba cię karmić, żebyś urosła.

Znowu odeszłaś. Znowu upodobniona do pokarmu. Znowu zniknęłyśmy w tym siebie zjadaniu. Ledwie cię czuję i kieruję się do ciebie – ty uciekasz i zmieniasz się w karmicielkę. Chcesz ciągle mi napełnić usta i brzuch. Uczynić sobie pełnię obfitości z ust i brzucha. Aby nic innego nie przechodziło pomiędzy nami poza krwią, mlekiem, miodem i mięsem (ale mięso – nie, nie chcę ciebie już martwej we mnie).

Czy nie będzie między nami innej miłości niż to wypełnianie dziur? Czy to twoje jedyne pragnieniem, by zamykać się bez końca na wszystko, co mogłoby istnieć między nami? Ograniczać nas do konsumowania – bycia konsumowaną, twojej jedynej potrzeby?

Nie chcę już więcej tego ciała zatykanego, znieruchomiałego. Nie, chcę powietrza. Lecz jeśli ty ciągle i ciągle sprowadzasz mnie do ślepego podobieństwa z tobą – ale z jaką tobą? – jeśli odwracasz ode mnie twarz, dając mi siebie jedynie w formie już nieruchomej i gdy zostawiasz mnie kompetentnym mężczyznom, aby mnie uwolnić z mojego /twojego paraliżu – odwracam się w stronę mojego ojca. Opuszczam cię dla kogoś, kto wydaje mi się bardziej żywy od ciebie. Dla kogoś, kto nie przygotowuje mi nic do jedzenia. Kto zostawia mnie pustą, nim nie wypełnioną, otwarte usta na jego prawdę. Śledzę go spojrzeniem, słucham, co mówi, staram się iść za nim...

On opuszcza dom, idę w jego ślady. Żegnaj moja matko. Nigdy nie stanę się podobna do ciebie.

Uprawiam gimnastykę. Praktykuję odpowiednie na mój ból techniki ciała. Stanę się mechaniczną sawantką. Ruszam się, choć nic mnie nie porusza. Posuwam się i wykonuję ruchy w myśl rytmu przepisanego, aby mnie uzdrowić. Moje gesty, moja witalność, moje tańce nie będą się brały z miłości, ale z siły woli. Każda godzina dnia zobaczy mnie, jak staram się podporządkować przepisanym przez lekarzy ćwiczeniom. Z rygorem poddaję się temu, co oni o mnie wiedzą. Oddaję im całą uwagę, całą energię. Będę żywą demonstracją słuszności ich reguł. Animowana lub reanimowana przez ich rozum.

Patrz, z daleka, jak się w takt poruszam, ja, niegdyś sopel lodu z wściekłości. Czyż obecnie nie jestem mądra? Prawie doskonała młoda dziewczyna? Brakuje mi jedynie trochę ubrań, biżuterii, makijażu, małych przeróbek, paru stylów bycia i działania, aby robić dobre wrażenie. Zaczynam wyglądać tak, jak się ode mnie oczekuje. Jeszcze jeden wysiłek, jeszcze jedna złość na ciebie – za to, że chciałabyś, abym ciągle była mała, że bardziej wolisz, abym jadła to, co mi przynosisz, niż abym ubierała się tak jak ty – i wyjdę z twojego snu. Z mojej choroby. Z ciebie we mnie, ze mnie w tobie. Wyjdę poza nas. Pójdę do innego domu. Będę żyła moim życiem, moją historią.

Popatrz, jak mi dobrze teraz idzie. Nie muszę nawet biegać za mężczyzną, to on do mnie przychodzi. Zbliża się. Czekam na niego, nieruchoma, bez jednego

drgnienia. On jest już całkiem blisko. Jestem sparaliżowana z emocji. Moja krew krąży słabiej. Ledwie oddycham. Odchodzę.

Nie mogę ci powiedzieć, dokąd. Zapomnij o mnie, moja matko. Zapomnij o tobie we mnie i o mnie w tobie. Zapomnijmy się. Życie toczy się dalej...

*

Oglądasz się w lustrze. A twoja matka już się w nim znajduje. A wkrótce twoja córka matka. Pomiędzy dwiema, kim jesteś? Gdzie znaleźć–odnaleźć twoje miejsce? W jakiej ramie powinnaś się zmieścić? I jak pozwolić przebijać się przez to twojej twarzy, bez żadnej maski?

Jest wieczór. I ponieważ jesteś sama i nie masz obrazu, który dałby się dłużej znosić lub narzucić innym, kończy się parada (rozbierasz się ze swoich min, ze swej parady). Pozbywasz się swej postaci córki matki, matki córki. Tracisz swoje opakowania. Odmarzasz. Topisz się. Wylewasz poza siebie.

Ale nie ma nikogo, kto mógłby cię pocieszyć i nic nie może zatrzymać tego bałaganu. Nim skończy się dzień, już cię nie będzie, jeśli ten krwotok się nie zatrzyma. Ledwie fotograficzna pamiątka jako znak przejścia między twoją matką i twoją córką. I być może więcej nic. Twoja rola nie ma twarzy. Karmienie następuje, zanim pojawi się jakikolwiek kształt. Tylko miarowe odmierzanie: czas, w którym jedna staje się drugą. Spożywanie, zanim pojawi się jakikolwiek obraz tej, która się oddaje. Zniknęła, zanim została spostrzeżona. Trudno dostrzegalna, chyba że w przypływie, który napełnia po brzegi. Przenosi jedną w objętość skóry drugiej. Przenika i zajmuje, aż po zawłaszczenie, całą przestrzeń dla jednej i dla drugiej, cały dystans pomiędzy jedną a drugą. Tylko ten płyn, który zaczyna od jednej i dociera do drugiej, i który nie ma własnej nazwy.

Nikogo dziś wieczór, aby cię wziąć w nią, moja matko. Nikogo, kto by pragnął i otrzymał ciebie w niej. Nikogo, kto otworzyłby swoje wargi i pozwolił ci przepłynąć w nią, i pozostać w ten sposób żywą. Nikogo, kto odmierzałby czas twojego życia. Kto wywołałby w tobie przypływ przejścia poza ciebie. Kto by ci powiedział: przyjdź i zostań jeszcze tutaj. Nie tkwij pomiędzy lustrem i tą stratą ciebie bez końca. Jedna oddzielona od drugiej. Jedna odczuwająca brak drugiej. Dwie martwe, oddalone jedna od drugiej i bez więzi między sobą. Ta, którą oglądasz, odcięta od tej, która żywi. I, odkąd odeszłam, pozbawiona miejsca, w którym by zjawił ci się dowód twojego egzystowania.

Przynajmniej w to byś wierzyła. Ale czy ty, pozbywając się lustra we mnie, nie napoiłaś mnie swoim paraliżem? I czy, jako że nie znałam nigdy twojej twarzy, nie karmiłaś mnie czymś nieżywym? W twej krwi, twym mleku płynęły miraże pustyni. Mieszało się, jeszcze w płynie, co zamarzało podczas każdej wymiany. To, co niemożliwe pomiędzy nami. Ja stałam się na siłę nie zamieszkana przez twe obra-

zy. Przez ciebie pragnącą, abym urosła, abym chodziła, abym biegała, by przezwyciężyć twoje kalectwo.

Aby twoje ciało mogło się ruszać w rytm twego pragnienia, aby siebie widzieć żywą, zamknęłaś mnie w swym braku spojrzeń na ciebie. W braku miłości wzmagającym czy towarzyszącym ruchliwości twoich rysów, twoich gestów. Pragnęłaś mnie, taka jest twoja miłość ciebie. Zmrożona tym pragnieniem twojego spektaklu, byłam skamieniała w przedstawieniu twojego ruchu.

Zamiast miejsca, gdzie chciałaś siebie oglądać, otrzymałaś tylko przezroczystość lub inercję. Powietrze nieskończenie pozbawione wszelkiej refleksji o tobie czy ciało nie zamieszkane przez własną świadomość siebie. Mogłaś przemierzyć, jeszcze i jeszcze, każdy pejzaż i horyzont, i nigdy się nie spotkać. Lub zmierzać do tego, czym jesteś i co mi zrobiłaś, wstrzymując twój /mój krok. Zaciemnienie, które ukrywa każde przejście w światło.

Kim jesteś? Kim ja jestem? Kto odpowiada za naszą obecność w tej przejrzystości czy tej ślepej przeszkodzie?

I jeśli wyjadę, ty już się nie odnajdziesz. Czy nie byłam depozytem, kaucją, która ręczyła w razie twojego zniknięcia? Czy nie byłam obronnym miejscem twojej nieobecności? Strażą twojego nieistnienia? Tą, która upewniała cię, że będzie mogła zawsze do ciebie dołączyć. Że będzie mogła trzymać cię, w każdej godzinie, w twoich ramionach. Utrzymywać cię przy życiu. Żywić cię nieskończenie, próbując przetrwać. Dawać ci ciągle i ciągle krew, mleko, miód (twojego mięsa bym nie chciała), próbując przywrócić cię światu.

Nikogo, dziś wieczór, to oczekiwanie ciebie. Posuwasz się w kierunku braku, który ma nadejść. Nikogo, w kim mogłabyś sobie przypomnieć sen o sobie samej. Dom, ogród, wszystkie miejsca są ciebie pozbawione. Szukasz się wszędzie na próżno. Niczego nie ma przed twoimi oczami, pod twoimi rękami, twą skórą, co przypominałoby ci o tobie. Co pozwoliłoby ci zobaczyć się w innej tobie. Co by ci umożliwiło opróżnić się jeszcze bardziej w moim ciele, aby utrzymywać pamięć o tobie. Aby odżywiać pozór ciebie samej. Nie, moja matko, ja odeszłam.

Ale czy nie znałam cię nigdy inaczej niż częściowo? I czy to nie we mnie było schronienie twego zniknięcia. Kiedy rozlałaś się we mnie, już cię tu nie było. Już byłaś uwięziona gdzie indziej. Już weszłaś w inne spojrzenie. Przenosząc się w świat, do którego nie mogłam już wejść. I nie otrzymałam od ciebie nic poza zapomnieniem ciebie. Utrwalając zapomnienie zapomnienia, dopóki tu byłam. Dopóki mogłam powtarzać w moim emocjonalnym istnieniu brak twojej obecności.

Ale zapomnienie powraca, gdy pamięć o nim zanika. I oto ty, dziś wieczór, naprzeciw żałoby bez pamięci. Obdarzona pustką, która nie wywołuje żadnego wspomnienia. Krzyczy wobec wracającego własnego echa. Materialność wypełniająca nieobecność, która umyka przed pochwyceniem. Blokada, która usztywniała mur

twego więzienia. Podpora możliwej przyszłości, która usunięta, pozwala wszystkiemu zapaść się bezpowrotnie.

Gdzie jesteś? Gdzie ja jestem? Gdzie odnaleźć ślad naszego przejścia? Od jednej do drugiej? Z jednej w drugą?

Schodzisz i schodzisz, sama, pod ziemię. W podziemie, dokąd, jak się wydaje, idziemy. Jedna, druga. Jedna lub druga. Porzucasz swe zamknięcie, swą prawość. Twe kroki, twe rysy wyżłobione decyzją podporządkowaną samotności. Powracasz do tej jaskini, do której straciłaś wejście. Do tej piwnicy, do której zapomniałaś drogi. Do tej dziury w pamięci, gdzie została pogrzebana cisza mojego narodzenia z ciebie. Mojej separacji, nieoddzielnej od ciebie. W ciemności twojego poczęcia ze mnie.

Co takiego się stało w nocy twego brzucha, że nic już nie wiesz o tym, że byłam? Kim była jednak, kim druga? Jaki cień lub jaka jasność rosła w tobie, kiedy mnie nosiłaś? Czy nie denerwowało cię światło, gdy stałam się czymś zatrzymanym na horyzoncie twojego ciała? I czy nie straciłaś blasku, kiedy zapuszczałam korzenie w twojej ziemi? Kwiat pozostawiony swemu wzrostowi. Poddający się kontemplacji, niekoniecznie pragnący sam siebie zobaczyć. Stawanie się, nie poddane żadnym wzorom. Rozkwitanie nieposłuszne żadnym znanym już zarysom. Szkic, który nieskończenie zmienia się w każdej godzinie. Otwarty na ruch, w którym się staje. Kręci się, zwraca, odwraca – w rytm tego, co go pociąga czy pcha w stronę wybuchu istnienia, lub trzyma w pobliżu sekretu pierwszego podlewania. Rozpostarty w powietrzu, jeszcze wolnym od obrazów. Doznający ekstazy swego rytmu i swej miary, ale nie pod przymusem spojrzenia, które tropi jego tajemnicę. Rozkwitający w kole utraconej wizji. Ściśnięty w ślepym obwodzie pytania bez odpowiedzi.

Czyż nie byłam twym dającym się przewidzieć powtórzeniem? Twoim profilem, który ktoś ci skradł. Skórą, którą ktoś ci zabrał. Błądzącą w bólu tożsamości. Ty pozbyłaś się we mnie tego rozmyślania bez końca i z każdym krokiem bardziej rozdzierającego. Zatrzymałaś we mnie twe przeznaczenie nieznajomej. Klisze – jeszcze i zawsze – negatywy twojego przybycia do ciebie /mnie.

Oto ta, którą będę czy którą byłam, czy którą chciałabym być – czy nie było to twoje wołanie o moje narodzenie? Co zostaje mi jako przestrzeń, aby przyjść na świat? W którym miejscu rozpocząć mój poród poza ciebie? Ty zatrzymałaś mnie poza sobą ciągle w tobie.

Z twoim mlekiem, moja matko, dałaś mi lód. I jeśli odchodzę, ty tracisz obraz życia, twojego życia. A jeśli zostaję, czyż nie jestem depozytem twojej śmierci? Jednej i drugiej brakuje swego przedstawienia. Jej twarzy, ruchom całego ciała czegoś brakuje. I jedna nosi żałobę po drugiej. Mój paraliż oznacza twoje uprowadzenie przez lustro.

Irigaray I jedna nie ruszy bez drugiej

I czyż odchodząc, nie utrwalam twojego wygnania? Omdlała, gdyż teraz na mnie kolej? Uwięziona, ja także, w spojrzeniu, w którym zamknął mnie mężczyzna. Porwana samej sobie. Znieruchomiała w odbiciu, którego ode mnie oczekuje. Ograniczona do twarzy, którą on mi przypina, aby móc się w niej przeglądać. W podróży do upodobań z jego snów i obrazów. Zatrzymana w jednej funkcji – macierzyństwie.

*

Czemu nie pozwoliłaś mi się dotknąć? Czemu twej twarzy nie trzymałam w rękach? Czemu nie nauczyłam się twojego ciała? Żyjącego swym kształtem. Czując miejsce jego przejścia – także między tobą i mną. Czyniąc z twego spojrzenia materię powietrza, które mnie zamieszkuje i ochrania przed naszym podobieństwem. Z twych /mych ust, horyzont nigdy nie zamykany. W tobie /mnie i poza tobą /mną, ubrana czy rozebrana w naszej płci. Proporcjonalnie do naszej skóry. Ani za duża, ani za mała. Ani rozwarta, ani nasycona. Rozchylona, bez cięcia.

A dlaczego miałoby mnie dotknąć inne zranienie? Czy nie mam już moich /twoich warg? I to ciało otwarte na to, czego nigdy nie skończymy sobie dawać? Sobie mówić. Możemy się zanurzyć w tę zasłonę ciszy, aby się odrodzić. Możemy w nim na nowo poczuć siebie, aby jeszcze i jeszcze, stawać się kobietami i matkami.

Ale nigdy nie rozmawiałyśmy ze sobą. I takie zniszczenie teraz nas rozdziela, że mogę tylko całkiem opuścić twój brzuch, ale w nieokreślony sposób na zawsze w nim pozostaję. Pogrzebana w cieniu. Uwięziona w naszym zapieczętowanym zamknięciu.

I jedna nie ruszy bez drugiej. Ale tylko razem się poruszamy. Gdy jedna przychodzi na świat, druga zapada się pod ziemię. Kiedy jedna niesie życie, druga umiera. Ale oczekiwałabym od ciebie tego, abyś, pozwalając mi się narodzić, także żyła dalej.

Przeł. *Agata Araszkiewicz*